Ner 9. Kraków 1 maja 1868. Rok III.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami i opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI i ADMINISTRACYI przy ul. Mikołajskiéj Nr. 451 na dole, otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9téj do 12téj rano.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dla Prenumerujących **mody.**

ARTUR GROTGER.

Ustęp z dziejów sztuki polskiéj.

(Ciąg dalszy.)

* * *

Szesnastoletni Artur znalazł się na szerokim już świecie w Wiedniu sam — bez opieki i podpory widoméj.— Ale nie bójcie się o niego. — Zdolność i praca wyprowadzą go wkrótce na jaw. Począł rysować i malować w najrozmaitszych kierunkach. — Profesorowie akademii sztuk pięknych — szczególniéj dyrektor Rubin — polubili go od razu i zwrócili nań szczególniejszą uwagę; otworzono mu, jako odznaczenie przystęp do tak zwanéj *Meisterschule*, gdzie miał osobną swoją pracownię. Poznano go też i w dalszych sferach jako zdolnego i rzutnego rysownika. Mnóstwo miał zamówień na rysunki do drzeworytów dla zakładu Waldheima „Illustrirte Blätter“ i do „Gartenlaube“, pisma najwięcéj po Niemczech rozpowszechnionego.

Jest to dziwne zjawisko i rzucające smutny cień na nasze społeczne stosunki, że zwykle kiedy u nas powstaje człowiek — nowa potęga w jakimbądź kierunku, artysta np. człowiek nowy, który sam sobie jest przeszłością swoją i przyszłością; to zamiast znaleść się pomiędzy swoimi, zamiast oprzeć się o pokrewne serca i przyjazne ramiona, on będzie sam, gubi się i błąka.

Tymczasem obcy przygarną — wyzyskują, ale i ocenią, pomogą i zachęcą. A nawet my sami w obczyznie jakoś topniemy i trzymamy się razem i tęsknimy za tém zimnem i apatją, którym w kraju rękę podawać potrzeba.

I jest to już u nas przyjętym paradoksem, że dopiero kiedy zagranica kogoś ochrzci na człowieka, mającego swoją wartość, wtedy dopiero kraj stroi do niego umizgi — bo można się nim pochwalić.

Zwykła to droga dla naszych artystów, że dobijają się najpierw o pierwszeństwo za granicą. — Matejko, Filippi w Monachium; Gadomski w Wiedniu; a nieodżałowany rzeźbiarz Szubert, Rodakowski w Paryżu; Lefler; na pysznych monumentach postawionych przez Fernkorna w Wiedniu na placu Burgowym najwięcéj jest pracy Cynglera (obecnie w Warszawie) — słowem wszędzie palmę i medale — już na akademjach — odnoszą nasi artyści i wszędzie polskie kolonje górują sercem i duchem, talentem i pracą.

Zebrała się taka kolonja i w Wiedniu za pobytu tam Artura. Mając znaczny dochód za roboty do zakładów drzeworytniczych, sprowadził do siebie — na cztéry lata przed powstaniem — matkę i siostrę, starał się o braci służących w wojsku, i było mu to szczęściem, że mógł być aniołem opiekuńczym rodziny i domu i wylanym dla przyjaciół. A znaleźli się w Wiedniu i wielu z krakowskich jeszcze przyjaciół i przybyli nowi: Grabowski, Gadomski, Lefler, Leopolski, Marceli Krajewski, zmarły pejzażysta Zygmunt Ekielski, Józef Szujski, Tadeusz Wojciechowski, Ludwik Kubala, serdeczni przyjaciele Artura: Marceli Maszkowski, który na kilka dni przed śmiercią dokończył cudny biust Słowackiego — i Rafał Maszkowski skrzypek i wielu innych... wszystko to znane już dziś imiona i ludzie. — Odbywali w owych latach swoje stacje w Wiedniu — gromadki to wojującéj Polski — a wszystkich można było spotykać w domu Grotgerów, gdzie ich czarował magnetyczny wpływ piękności, wdzięku i sztuki. — Artur w gronie towarzyszów, którzy się rozumieli, rósł, olbrzymiał. Z jednéj strony bujna i energiczna natura potrzebowała zuchwałych porywów, potrzebowała marnotrawić się, aby się upewnić o swojém niewyczerpaném bogactwie; wezbrane siły żywotne potrzebowały rozrywać brzegi i tamy. Są natury, którym się zdaje, że są nieśmiertelne — słońce ich ducha zapali się i będzie świecić późnym pokoleniom — ale ich ziemski pojaw gaśnie wczas jak meteor, życie ich musi być krótkie — to ich przeznaczenie — a nie przystaliby na inne. — Period taki nazywają Niemcy *Sturm und Drang* — ale jest to przecież co innego — bo u nich następuje po tém filozoficzna flegma, pedantyczna powszedniość o rumianych policzkach. U nas przeciwnie (jeżeli się nie mylę), jeżeli nastąpi period drugi, będzie to męzka trzeźwość, któréj umiarkowanie nie szkodzi świeżości serca i zapałowi woli.

Życie Artura było więc wówczas hulaszczą karnawałową maskaradą, szaloną gonitwą, tańczył zawzięcie, muzykę lubił niesłychanie, rozrywały go bale, koncerta, towarzystwa; dłoń i serce miał zawsze otwarte; za to brakowało czasu i pieniędzy. W dzień należało pracować dużo, a jeszcze więcéj wypoczywać. To jedna strona — z drugiéj prace artystyczne nie mniéj go zajmowały. Obrazy olejne, wodne, rysunki przesuwają się przez jego paletę. Wymagania życia nakazywały pilnować dobrze płaconych robót, więc też w czasopismach niemieckich i w „Postępie“ w owych latach pełno jest jego rysunków rodzajowych, historycznych ilustracyj, kartony do historyi austrjackiéj i t. p. Te chlebowe zajęcia grają bardzo ważną rolę w artystycznym rozwoju Grotgera. Główna czynność jego skierowaną została do rysunków krédkowych, nabrał niesłychanéj biegłości i wprawy w tym rodzaju, nauczył się wydobywać rysunkiem efekta, które w olejnych nawet obrazach, przy pomocy naturalnych barw i światła stanowią ogromne trudności. Malowanie olejne przeciwnie stawało mu się obcém.

Przeglądnijmy szereg prac jego z lat od 1858 do 1861, a odsłonią się nam bez szukania drogi, na które wstępywał. Będzie to spis niezupełny jeszcze z powodu trudności odszukania wszystkiego, nadto obejmuje i rzeczy może drobiazgowe. Mają one jednak tutaj swoje miejsce, raz jako ślady po człowieku, który przyniósł chlubę swojemu narodowi, powtóre jako błyski i wskazówki. W każdéj z nich odnajdzie znawca jakieś orle piórko. Jak każdy szkic lub kontury Michała Anioła, Rafaela zrobione od niechcenia węglem na ścianie zdejmowały następne pokolenia; jak śmiało już dzisiaj powiedzieć możemy, że niebawem malarze silić się będą na odgadywanie tajemnic sztuki zawartych na płótnach Matejki i nowa ztąd może powstać szkoła; z równém prawem możemy twierdzić, że pomnikowe rysunki Grotgera będą z każdym rokiem róść w wartość, nie przeżyje się ich oryginalność i potęga, dlatego też wszelka praca jego i najmłodsza poszukiwaną będzie jako szczebel z jego drabiny, więc też i mówić o nich należy.— Będą tu wliczone i niektóre roboty lubo późniejsze, ale charakterem swoim do tego periodu należące:

„Trzy epoki z życia żołnierza“ — akwarella, — czasy średniowieczne: 1) pożegnanie w domu; 2) wśród walki na koniu; 3) trup powalony na piaszczystém wybrzeżu.

„Patrol nocny“ — olejny — czasy średniowieczne. (Wszystkie cztéry własność hr. Winc. Bobrowskiego.)

„Modlitwa konfederatów przed bitwą“ — obraz olejny większych rozmiarów, przysłany r. 1858 na jednorazową wystawę do Lwowa. Wschodzące słońce budzi obóz, trąbią pobudkę; jedni się modlą, inni szykują, inni konie ubierają. Niektóre figury są sztywne, koloryt niewłaściwy, ale całość wybornie ułożona, pełno ruchu i życia. Jest to poczęści jakby owa chwila w „Mohorcie“:

„Na koń — zawoła najsamprzód obożny,
Na koń — obiega do koła głos groźny,
Na koń — zagrzmiało i zamęt wśród wrzawy,
Na koń — i jeźdźców połowa już w biegu,
Na koń — i wszystkie skończone już sprawy!!“

„Ucieczka Henryka Walezjusza“ z zamku krakowskiego — olejny. — Noc — w głębi Kraków księżycem oświecony — na przodzie w oświeceniu od pochodni król z małym orszakiem w pochodzie. Po przerażonych obliczach i skrytości nocy, i oglądaniu się poza siebie, poznać, że to ucieczka potajemna — ciemność i różnica dwóch świateł wybornie oddane. Obraz ten wielkiéj wartości kupiło Towarzystwo sztuk pięknych w Pradze.

„Sobieski pod Wiedniem“ — kupione na wystawie w Pradze.

„Rzeź humańska“ — akwarella w oświeceniu pożarném — (własność p. Onufrego Waligórskiego w Warszawie).

Mnóstwo szkiców akwarellowych, między temi: Konie, a jako przypatrujący się odportretowani w karykaturze J. Grabowski, pp. Bobrowscy ojciec i syn i sam Grotger. (Własność p. Winc. Bobrowskiego.)

„Ofelja“, olejny, pozostał tylko podmalowany — postać zupełnie odmienna niż te, które zwykle na scenach widzimy — spokojna, w oczach osjaniczna mgła — chciał w niéj artysta uwydatnić o ile poznać można, północną, bladą zadumę. (Własność rodziny.)

„Szkoła szlachcica polskiego“, cztéry akwarelle — na pierwszéj chłopcy pod nadzorem księdza, bawią się łukiem, strzelaniem; — na drugiéj marsowaty ojciec — wyborna postać — pali widać jakąś reprymendę słuchającemu pokornie synowi, już wyrostkowi, że byłby czas, — jak mówi Rej — pomyśleć o wyborze poczciwego staniku; — na trzeciéj, stary ojciec znajduje się już ze synem na koniach w pośród bitwy, niby Miecznik z Wacławem — a na ostatniéj ranny ojciec błogosławi klęczącego syna w otoczeniu towarzyszów pancernych. Jest to jeden raczéj kierunek szkoły dawnéj szlachty — służba rycerska — gdyż drugim było sejmikowanie, służba poselska i t. d. Malowanie jest tu bardzo jeszcze surowe, szczegóły naznaczone co z grubsza, ale przeprowadzenie i typowa charakterystyka postaci trafna i prawdziwa — obrazy to bardzo wdzięczne. (Własność p. Millera w Krakowie.)

„Canal grande“ w Wenecyi — akwarella. — *„Zachód słońca*, gorący i jaskrawy“, — *„Noc“*, postać kobieca zawieszona w ciemności i siejąca makami — olejne. — (Własność rodziny.)

„Germania“, rysunek, robiony podczas ostatniéj niemiecko-duńskiéj wojny. Kobieta wsparta na tarczy okrywa

płaszczem dwoje pacholąt: Szlezwig-Holsztyn. Rysunek bardzo ładny, lecz w Wiedniu — o ile wiem — ani jednego egzemplarza fotografij z niego nie sprzedano.

Prócz wymienionych, jest niezliczona liczba prac rozrzuconych i wspomniane już ilustracje po czasopismach.

„Przegląd“ ten podaje nam następujące wskazówki:

Od początku z największém zamiłowaniem obierał przedmioty wojenne, bitwy, konie.... Wielki ruch, gwałtowne uczucia, poezja sytuacyi podnoszona poezją pejzażu, porywały duszę jego. Wybierał przedmioty ojczyste, atoli potrzeby życia zmuszały do podejmowania tematów obcych — a te obstalunki rysunkowe przechylają go znowu coraz wyłączniéj do robót krédkowych. Nakoniec od początku wpada na sposób traktowania rzeczy całemi serjami, w szeregu obrazów, w których te same osoby w odmiennych postaciach i sytuacjach powracają. — Widzimy więc już kierunki jego coraz wybitniéj; właściwe zdolności i przymioty talentu przychodzą już do świadomości. — Potrzeba jeszcze jednego kroku, jednego silniejszego wstrząśnienia, ażeby się zastanowiła nad sobą luźna dotąd rzutność życia i pendzla, ażeby natchnienie artysty znalazło już stanowczo i objawiło się w swoich właściwych i własnych nowych kształtach.

Tém namaszczeniem dla artysty, tym przełomem dla życia i talentu jego stała się nowa polityczna epoka, w którą Polska wstępowała, a którą otwierały wypadki warszawskie. (C. d. n.)

ŁZY.

Klęcząc słuchałaś tonów żałobnéj piosenki;
Twoje oczy zabłysły jasnemi perłami,
I mignęło spojrzenie jedno między nami —
Twarz i perły zniknęły w cieniu śniéżnéj ręki.

Lecz jak rosa — co pada o brzasku jutrzenki,
Rozsiewana po łąkach wiosny ramionami —
Łzy przez dłoń twą spływały; a razem ze łzami
Płynęły uroczyste rzewnéj pieśni dźwięki.

Gdy o iskrę uczucia, o iskrę nadzieje
Błagam, dumnie od kolan odpychasz żebraka;
Sucho patrzysz jak cierpię, rozpaczam, szaleję....

Skądże ta obojętność? skąd nieczułość taka?
Ta pieśń, nad którą płaczesz, wszak to moje dzieje!...
Tyle łez dla piosenki — żadnéj dla śpiewaka!

WŁ. ŁADA.

SYRENA.

(POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA.)

(Ciąg dalszy.)

VI.

Śpiewy Syreny.

Trapiące myśli, na które Wasyl szukał lekarstwa i zapomnienia w trunku, wróciły znowu po otrzeźwieniu. Ciągle na pamięci stała owa rodzina wyrobnika z Starego-miasta, uśmiechnięta, szczęśliwa i zdawała się urągać z niego i mówić: widzisz, ty nie masz nikogo. Ta jedna chwila złamała kalekę, począł rozważać swoje stare lata, schorowane ciało, przyszła mu na myśl śmierć, co lada chwila może zadrwić z jego nadziei i zrobiło mu się okropnie. I znowu jak wczoraj szukał zapomnienia w trunku. Odtąd coraz częściéj widziano kalekę o szczudle wchodzącego do szynku przy brudnéj uliczce Oboźnéj i wracającego ztamtąd czasem z fantazją i gęstą miną, czasem zalanego łzami. I dziwna rzecz, że Nuryn gwałtowny i popędliwy, z pobłażaniem patrzał na to postępowanie sługi — nie było to bez powodu. Wiedział, że przyczyną pijaństwa Wasyla był smutek, było osamotnienie w życiu, a że on był również osamotniony na świecie, więc czuł rodzaj sympatyi do starego sługi i był dla niego pobłażliwym. Wspólność doli zbliżała ich do siebie. Nieraz nawet chciał z nim zawiązać serdeczniejszą pogawędkę, pocieszać go i sam być pocieszonym; ale Wasyl zwykle był nieprzytomny wieczorem, a Nuryna znowu dzień cały w domu nie było. Od czasu do czasu Nuryn usiłował lekkiém napomnieniem zreflektować Wasyla, odwieść go od złego nałogu; wtedy Wasyl rozpłakał się, obiecywał poprawę, czasem parę dni wytrzymał; ale znowu wracał do dawnego.

Jednego dnia, kiedy podług zwyczaju szedł do szynku skręcając na lewo od kościoła Ś. Krzyża, ktoś z przechodzących przytrzymał go za ramię. Obejrzał się i ujrzał ze zdziwieniem swego dawnego służącego Antoniego.

Obaj jakiś czas patrzeli na siebie w milczeniu. Antoni z politowaniem patrzał na zmienioną twarz swego dawnego pana, na jego szynel wytarty do nitki i potargany. Wasyl wobec sługi uczuł się zakłopotanym, zawstydzonym, uczuł, jak nisko upadł teraz. Zdawało mu się, że to długie lata upłynęły od czasu, jak ostatni raz żegnał sługę; tak czuł się zmienionym do niepoznania przez ten krótki przeciąg czasu.

— Wy tutaj panie — odezwał się sługa wzruszonym głosem. —

— A ciebie co tu sprowadza?

— Straszne rzeczy. Pan mój nie żyje.

— To było do przewidzenia — kwękał ciągle.

— Nie chciano widać czekać na to. Otruto go.

— Kto?

— Naszą panią aresztowano.

— Kto ją mógł o to posądzić?

— Ja. Miałem już dawniéj pewne podejrzenia, że zbyt często karmi pana proszkami, które doktór w miarę tylko i od nagłego przypadku używać kazał.

— Jakiż powód był takiéj zbrodni?

— Kochala się w bracie jego.

W pułkowniku?

— Tak. — Kiedy jeszcze pan leżał na katafalku, pani wysłała posłańca z listem na pocztę. To mi się wydawało nieco podejrzaném i przejąłem go. List był pisany do pułkownika — zaklinała go w nim, aby nie przybywał na pogrzeb brata i pod żadnym pozorem nie zjawiał się u nas, by nie obudzić jakich podejrzeń: kazała mu się cieszyć blizkiém szczęściem i naznaczyła przyjazd swój do Warszawy za pół roku. — Z listem tym przyjechałem prosto do urzędu powiatowego, opowiedziałem, com wiedział, zjechała komisja i pokazało się, że pan został otruty. W téj chwili aresztowano panią i przywieziono ją do Warszawy. Śledztwo się już rozpoczęło, idzie tylko o lekarza, co leczył naszego pana, a który zginął bez wieści.

— A pułkownika aresztowano także?

— Nie. Gdy się dowiedział o otruciu brata, o uwięzieniu Irreoltemy — w łeb sobie wypalił.

— Okropność — i to kobieta mogła uczynić, taka piękna kobieta — mówił wpół do siebie Wasyl cierpnąc cały, bo ile razy słyszał coś o jakiéj kobiecie źle, czy dobrze, zaraz w myślach stawała mu córka jego i pytał siebie: a ona taką jest? — czy nie? — Przez wspomnienie córki zadrżał nad losem kobiety, która go zresztą mało obchodziła. Dreszcz zimny przeszedł go po ciele. Radby był się rozgrzać co prędzéj w szynku na przeciwko, ale nie śmiał przed służącym; chciał więc go się pozbyć co prędzéj.

— Czas mi wracać do domu — rzekł.

— A rodzina wasza panie?

Żołnierz machnął rozpacznie ręką.

— Nie ma śladów?

— Wróżka mówiła mi, że jéj nie zobaczę nigdy. Rozumiesz? Nigdy.

— Lepiéj wierzyć Bogu jak wróżce.

— Najlepiéj niczemu. Pal licho — bądź zdrów. A jak mnie chcesz widzieć, to przyjdź tam w tę trzecią ulicę — mały domek żółty o trzech oknach, służę u urzędnika Nuryna.

— Nuryna? ten prowadzi śledztwo z moją panią.

— Tak. Ano widzisz, jak się wszystko dziwnie składa. No, bądź zdrów, bo czas drogi.

Wyrwał się co prędzéj od sługi, tak go pragnienie wódki niepokoiło.

Antoni zdziwiony był tą gorączkową niespokojnością pana, tém roztargnieniem jego Pożegnawszy go, nie odchodził, ale ścigał go oczami. Widział, jak ten wszedł do brudnego szynku na rogu ulicy i pokiwał smutnie głową.

— Co nieszczęście zrobiło z tego człowieka — rzekł do siebie i poszedł ku zabudowaniom sądowym dowiedzieć się, kiedy będzie następne przesłuchanie obwinionéj.

I my tam wejdziemy przypatrzyć się téj kobiecie, od któréj nas na chwilę oddalił tok powieści. W okratowanéj niewielkiéj stancyi siedzi Irreoltema w czarnéj sukni. Gdyby nie słowa starego Antoniego, trudnoby było z jéj twarzy wyczytać historją ostatnich dni — na twarzy ani śladu skruchy, żalu, boleści lub rozpaczy, czysty posąg, który nie zmienił wyrazu od czasu, jak wyszedł z rąk mistrza. Tylko silniejsze cienie nadawały jéj więcéj ponurości. Siedziała oparta o okno, zapatrzona w skrawek nieba, co się niebieszczył między murami. Nie mógłbym powiedzieć, że dumała, oczy jéj miały nadzwyczaj wiele w téj chwili zimna i trzeźwości, aby ją o to można posądzić; prędzéj układała jakieś plany obliczała. Jeżeliście ciekawi zajrzeć w wnętrze duszy téj kobiety — to wam powiem, że jedyna myśl, jaka ją teraz zajmowała była: jakby się ocalić. Nie mogła przypuścić, aby karjera jéj miała się skończyć wśród więziennych murów, wierzyła w świetną przyszłość swoją. Nie spodziewała się, ale była pewną prawie, że obecna chwila przeminie jak sen. Piękność była jéj całym kapitałem, tą postanowiła się uwolnić, przekupić dozorców, sędziów — w myślach rozstawiała sidła, któremi spętać ich miała. Przedsiębiorcza jéj dusza nie bawiła się rozpamiętywaniem przeszłości, wspomnieniami; każdy przeżyty dzień odrzucała jak zdartą rękawiczkę, szła nie oglądając się. Ta była treść jéj życia.

Powiecie, że wam mówię nie prawdziwe rzeczy, że nie podobna, aby kobieta zdolna była do takich zbrodni. Akta sądowe odpowiedzą wam za mnie. Namiętność silniéj miota sercem kobiety, rozum mniéj u niéj znaczy niż serce, tó téż pochop do zbrodni łatwiejszy. Ale Irreoltema nie należy do ich rzędu, nie namiętność popchnęła ją do zbrodni, ale zimna, wyrachowana rozwaga. Nie z miłości dla pułkownika pozbyła się jego brata; usunęła go, bo jéj zawadzał, wyciągała rękę do tamtego, bo jéj miał pomódz do wzniesienia się. Cóż zrobiło tę kobietę takim potworem? Odpowiem wam na to: nie nauczono jéj kochać i modlić się. Dwa te słowa stanowią podwalinę moralnéj wartości kobiety, gdzie tych nie ma — tam kobieta choćby najpiękniejsza przeradza się w coś obrzydliwego, strasznego. Mężczyzna w takich warunkach może jeszcze być bohaterem, niszczycielem, choćby katem — kobieta tylko zbrodniarką. — Umyślnie w niniejszéj powieści postawiłem Wam przed oczy taką karykaturę myśli bożéj,

ideału kobiety — abyście widziały jak się rodzą potwory. Wśród ulicznego tłumu, w szynkowniach potwory takie stają się bydlętami; w wyższéj sferze są demonami złego; w pięknośći ich i oczach czuć zgniliznę grobu. Takie kobiety nie marzą ale myślą, nie kochają ale kuszą, nie mają łez prawdziwych, uśmiechu szczérego, a serce ich to wnętrze spalonych świętości. Na chlubę rodu niewieściego i na pociechę ludzkości, takie potwory rzadko się rodzą; więcéj jest takich, które grzeszą, upadają przez serce, przez namiętność. Kobiety z głową są anomalją sporadycznie się pojawiającą. Do takich demonicznych kobiet należała Irreoltema.

W chwili, kiedy głowa jéj pracowała nad jakimś pomysłem, wszedł dozorca więzienia i oznajmił jéj, że ma się stawić przed sędzią. Był to człowiek młody, nieśmiałéj powierzchowności. Stał przy drzwiach przebierając kluczami. Irreoltema spojrzała na niego skinęła:

— Zbliż się, mój panie — jestem tak słabą, że sama dojśćbym nie mogła. — Zbliżył się ku niéj niezgrabnie, Syrena otoczyła szyję jego swojém ramieniem i opierając się na niém silnie, postępowała powoli. Włosy jéj drażniły twarz młodego dozorcy, silny oddech jéj piersi czuł na ramieniu; krew uderzyła mu do głowy, w oczach mu się mąciło, pulsa jego grały pospiesznym taktem. Tego chciała Irreoltema.

Przed drzwiami sądowéj sali uścisnęła dozorcę za rękę na podziękowanie za przysługę jaką jéj oddał i weszła do sali.

Za zielonym stolikiem siedział Nuryn.

Ponura i surowa twarz jego mało dawała nadziei obwinionéj. Przy pierwszéj indagacyi, podczas gdy sędzia zadawał jéj pytania, ona badała jego usposobienie, charakter szukając, z któréjby strony można podejść i ująć go sobie. Nuryn zdawał się nieprzystępny i zimny; jedno ją tylko zdziwiło, że dając jéj zapytania, nie patrzał na nią i starannie unikał jéj wzroku. To przekonało ją, że czar działa, że pod surową i twardą skorupą sędziego kipią namiętności ludzkie. Z nieponętnéj powierzchowności jego wniosła, że nie był nigdy kochany — i na tém oparła cały plan swego postępowania i przy dzisiejszém przesłuchaniu umyśliła rozpocząć atak. Weszła pokorna i skromna, w odpowiedziach nadawała głosowi swemu ton drżący, wzruszony i łagodny. Nuryn czuł, jak ten czar kobiecego głosu obejmuje go, wkrada się do jego duszy. Pomimo to silił się na surową powagę i oschły ton.

— Czy pani byłaś w bliższych stosunkach z doktorem R.?

— Panie sędzio, masz prawo mnie badać; ale nie znieważać.

— Sąd wszystko wiedzieć musi. Tak, czy nie? — powtórzył zimno Nuryn.

— Nie znałam tego człowieka.

— Jaki miał cel list pisany przez panią do pułkownika?

— Ten człowiek prześladował mnie swoją miłością, chciałam się pozbyć jego widoku, obietnicą zatrzymać go w Warszawie, a tymczasem miałam zamiar wyjechania za granicę.

— W szkatułce pani znaleziono wielką ilość morfiny, a sekcja lekarska pokazała, że właśnie tą trucizną zgładzono męża pani. Co pani masz na to powiedzieć?

— Nic, jak tylko, że jestem niewinną.

— Takiéj obrony sąd nie uznaje.

— Więc skażcie mnie.

— To nastąpi. Przysięga służącego, który widział panią dosypującą truciznę do proszków przepisanych przez lekarza — potępia panią.

Irreoltema zadrżała i zbladła.

— Ja przysięgnę, że tak nie było.

— Sąd od pani nie przyjmie przysięgi.

— Cóż więc mam czynić? spytała obwiniona z wzrastającém przerażeniem.

— Bronić swéj niewinności lub przyznać się.

— Więc przyznaję się — rzekła podnosząc głowę z silném postanowieniem.

Nuryn nie spodziewał się tego zwrotu, spojrzał zdziwiony na mówiącą. Postać jéj w téj chwili jaśniała dziwną majestatyczną powagą i pięknością.

Była to Kleopatra, przykładająca węża do piersi.

— Zastanów się, pani — rzekł Nuryn — że wyznanie twoje stanowi o życiu twojém.

— I czegóż mam tak bardzo żałować tego życia? rzekła z wspaniałą ironiją. — Gdybym na niém znalazła jedno serce szlachetne, którebym szanować i kochać mogła, możebym żałowała tego życia.

— Więc pani nie kochałaś nigdy.

— To wina moja, to przyczyna méj zbrodni.

Nuryn spostrzegł się, że go litość za daleko unosi i cofnął się do zimnego tonu sędziego.

— Więc do czego się pani przyznajesz?

— Do otrucia mojego męża.

Nastała chwila długiego milczenia.

— Jakiż był powód? spytał po chwili Nuryn.

— Poszłam za niego z musu, nie kochając go. Takie życie wydawało mi się grobem za życia — a ja czułam, że mam jeszcze prawo kochać i żyć.

— Więc pani uczyniłaś to z miłości dla pułkownika?

— Pułkownika niecierpiałam.

— Więc dla kogóż?

— Ja nie wiem. Ale było we mnie pragnienie szczęścia, było we mnie jakieś przeczucie, że na tym świecie znajdzie się dla mnie serce, które równie jak ja nie kochało jeszcze, które zraziło się do świata,

odsunęło od niego i będzie żyć dla mnie i tylko dla mnie.

Nuryn położył pióro, wstał i przeszedł się po sali sądowéj, w twarzy jego malowało się mocne wzruszenie. Irreoltema szła za nim badawczemi, czarnemi oczami i triumfowała. Nuryn wrócił od okna do stolika, zielone sukno i krucyfiks przypomniały mu jego obowiązki — wziął pióro i chciał usiąść. Irreoltema rzuciła mu się do nóg i chwytając go za rękę spytała:

— Co pan chcesz robić?

— Spisać wyznanie pani.

— Na Boga, pan tego nie uczynisz. Wyznałam panu wszystko — jak księdzu na spowiedzi, wyznałam jako człowiekowi, któremu ufam.

— Jestem tutaj tylko sędzią.

— Ja nie do sędziego mówiłam, ale do przyjaciela, co powinien uczuć litość nademną i przebaczyć mi. Mówiąc to ściskała dłoń jego rozpaloną w swoich aksamitnych rączkach i tuliła się do nóg jego.

— Wstań pani — rzekł Nuryn podnosząc ją.

— O! nie — póki mi nie powiesz, że się litujesz nad moją winą, że mi ją przebaczasz.

— Wstań pani, wstań — powtarzał niespokojnie Nuryn podnosząc piękną zbrodniarkę.

— Jeżeli masz siostrę, matkę — niech one wstawią się za mną, niech ci powiedzą, że kobiecie, któréj nie wychowała czuła opieka matki, wiele przebaczyć należy.

— Więc i pani nie miałaś matki? To dziwne, jak mało teraz matek na świecie — rzekł z goryczą Nuryn.

— Więc i pan sierota? spytała podnosząc się i patrząc mu z politowaniem w oczy.

— Gorzéj jeszcze — odrzekł cicho odwracając się od niéj.

— O! to mi przebaczysz.

— Choćbym przebaczył, co pani z tego przyjdzie? Sąd panią potępi.

— Potępi? — rzekła i rzuciła się z jękiem na fotel, zakrywając twarz chustką. Nie był to już ruch udany, Irreoltema na prawdę zadrżała przed tém słowem; chwilami wiara w ocalenie odstępowała ją.

Nuryn patrzał na nią z politowaniem i współczuciem, potem zbliżył się powoli ku niéj i biorąc ją za rękę rzekł:

Uspokój się pani — nie trać nadziei. Będziemy robić co można, aby ci ułatwić...

— Ucieczkę? spytała żywo.

— Nie, obronę. Teraz idź pani odpocząć. Na dziś nie chcę cię więcéj męczyć pytaniami.

Zadzwonił. Wszedł dozorca więzienia — Nuryn wskazał na obwinioną i rzekł:

— Odprowadzić panią do więzienia.

Wyszła — machinalnie stąpała przez korytarze ze spuszczoną głową, nie patrząc na nikogo, nie mówiąc ani słowa. Dozorca pierwszy zbliżył się do niéj i podał jéj ramię. Podziękowała mu skinieniem głowy i szła daléj znękana wsparta na nim.

— I cóż sędzia? spytał nieśmiało dozorca?

— To głaz.

— Znamy go wszyscy.

— Jeżeli mnie cud nie ocali, będę zgubioną.

Stanęli właśnie przed drzwiami więzienia. Dozorca obrócił klucz w zamku i wprowadził do izby Irreoltemę.

— Odchodzisz pan już? spytała czułym głosem.

Dozorca zawachał się i stanął na środku pokoju.

— Może masz żonę, do któréj ci pilno.

— Ja nie mam żony.

— Nie masz pan żony — taki dobry i taki miły. To szkoda.

— Pensja moja nie wystarczyłaby na wyżywienie żony; mam przy sobie chorą, starą matkę, o któréj pamiętać muszę.

— To nie zatrzymuję cię. Ale gdy znajdziesz chwilkę wolnego czasu, przyjdź do mnie, rozmowa z panem jest balsamem dla méj strapionéj duszy. To mówiąc wyciągnęła ku niemu rękę — on zbliżył się i dotknął nieśmiało téj ręki rozpalonemi ustami i wyszedł z pośpiechem. Z trzaskiem zamykanych drzwi z twarzy Irreoltemy ustąpiło rozczulenie i smutek i stała się znowu gipsową maską, w któréj czerniły się przepaściste oczy. Kobiece uczucia, które przed chwilą grały na téj twarzy, zeszły jak róż starty — a nagi demon złego się odsłonił. Wyprostowała sztywnie pochyloną przed chwilą postać, założyła ręce z tyłu i chodząc miarowym krokiem po ceglanéj posadzce, rzekła głosem bezdźwięcznym, oschłym:

— Nie źle się rozpoczęło.

Mniéj spokojnie chodził po swojéj izdebce dozorca więzienia. Piękna zbrodniarka w długiéj aksamitnéj sukni stała mu wciąż na oczach. Człowiek ten w biedzie urodzony i wychowany, pierwszy raz zbliżył się do kobiety wielkiego świata; piękność jéj i dobroć dla niego odurzyła go, oszołomiła tak, że nie wiedział, co się z nim dzieje.

— Ona nie może zginąć, nie powinna, nie zginie — mówił do siebie.

Suchy kaszel leżącéj na łóżku kobiety ocucił go i sprowadził z nieba na ziemię. Ta matka chora, nędzna izdebka, jego mundur dozorcy — wszystko to wydawało mu się teraz takie upokarzające, małe, przykre. Zamknął oczy i rzucił się na łóżko, by nie widzieć tego, by myśleć o aresztowanéj.

A Nuryn? Ten wrócił do siebie napozór spokojny i zimny jak zawsze, nie rozbierał się jednak długo, kilka godzin siedział na jedném miejscu nieruchomy, zamyślony mocno. W przedpokoju chrapał głośno pijany Wasyl — przez sen bełkotał jakieś wyrazy bez

ładu i związku. — Nuryn nie uważał na to. Naraz usłyszał wyraz:

— Irreoltema!

Zerwał się i obejrzał z trwogą do koła, nikogo nie było. Głos szedł z izdebki Wasyla. Nuryn porwał świecę i pobiegł tam. Wasyl leżał na tapczanie rzucając się niespokojnie. Nuryn stał długo nad nim, wpatrywał się w twarz jego i zamyślił się nad tą dziwną tajemnicą, zkąd w ustach starego żołnierza znalazło się to imię, które teraz wszechwładnie zapanowało nad nim. Byłoż to echo jego własnych myśli, czy jakaś zawikłana zagadka?

Ranek rozwiązał zagadkę. Zapytany przez niego Wasyl opowiedział, zkąd zna to imię, przy jakiéj sposobności poznał Irreoltemę. — Z opowiadania jego Nuryn nabrał przekonania, że Irreoltema kochała pułkownika. Zazdrość poczęła męczyć go, odpędzał od siebie natrętne, gryzące myśli, szamotał się z niemi jak Laookon z wężami; wreszcie zerwał się i poszedł do sądu.

Dziś jeszcze prawdę wiedzieć muszę. Jeżeli go kochała — zginie. A jeżeli nie kochała? To także zginąć musi, bo ja jéj nie ocalę — mówił do siebie zrozpaczony, rozszalały.

U drzwi sądowéj sali jakiś człowiek zastąpił mu drogę.

— Kto jesteś?

— Świadek w procesie o otrucie mego pana — jego służący Antoni.

— Czego chcesz? spytał niechętnie.

— Chciałbym stanąć przed sądem, bo mi pilno wracać do domu.

— Wszak już przysięgałeś w sądzie powiatowym.

— Tak; ale wezwano mnie tutaj, bym stawał do oczów obwinionéj.

— Jeszcze śledztwo nie doszło do tego, późniéj, późniéj — mówił niecierpliwie pragnąc się go pozbyć najprędzéj.

— Ja mam wiele jeszcze zeznać.

— Czy na obronę obwinionéj?

— Jéj nikt nie obroni — ona winna.

— Późniéj, późniéj — powtórzył Nuryn i wszedł pospiesznie do sali sądowéj. — Za chwilę zadzwonił — wszedł pachołek.

— Czy ten człowiek stoi jeszcze w sieni?

— Poszedł już.

— Przyprowadzić obwinioną.

Pachołek odszedł — Nuryn rzucił się na krzesło zmęczony i rzekł:

— Dziś się rozstrzygnie albo jéj los, albo mój.

Założył ręce, wsparł na nich głowę i patrząc na stół zielony czekał.

Niedługo potém otworzyły się drzwi sali sądowéj — weszła Irreoltema; była piękniejszą niż wczoraj, jeżeli ta kobieta mogła być jeszcze piękniejszą. W posągu tym grało dziś życie, jak płomień lampy w alabastrów łonie, jak w Galatei budzącéj się do życia. Nuryn nie spojrzał na nią, siedział nieruchomy, i milcząc czekał aż usiędzie. Potém podniósł głowę i siląc się na zimną powagę wobec tego czaru piękna, co go ogarniał, wbił w nią głęboki, badawczy wzrok i powolnym głosem odezwał się:

— Czy pani wiesz, gdzie teraz się znajduje pułkownik?

— Nie. Prawdopodobnie w Warszawie.

— Trochę daléj. Pułkownik zastrzelił się.

Mówiąc to nie spuszczał ani na chwilę z niéj oczów, śledził każdy ruch jéj, każde drgnienie jéj twarzy. Irreoltema przyjęła tę wiadomość zimno, bez najmniejszéj oznaki żalu, bez żadnego gwałtownego wzruszenia. Nuryn odetchnął — Wasyl skłamał — ta kobieta nie kochała pułkownika — nie mogłaby tak obojętnie przyjąć wiadomości o jego śmierci. Tak rozumował Nuryn.

— Śmierć pułkownika — odezwał się po chwili — pogorsza sprawę pani, daje sądowi jeden dowód więcéj.

— Przeznaczeniem tego człowieka widać było szkodzić mi nawet i po śmierci.

— Za to nieobecność drugiego człowieka powinna panią pocieszać. Mówię tu o doktorze R. —

— Gdzież on jest?

— Znikł bez wieści; to pani może ułatwić tłomaczenie się. Nie byłby uciekał, gdyby nie czuł się winnym. — Ja pani nie powinienem tego mówić.

Irreoltema wstała, zbliżyła się ku niemu i podając mu rękę rzekła:

— Jeżeli będę ocaloną — pana nazwę moim jedynym wybawcą, a ty mnie nazwij wtedy niewolnicą swoją.

Nuryn zbliżył jéj rękę do ust swoich.

— Chciałbym coś zrobić dla pani; ale ostatecznie wyrok twój nie odemnie zależy, jeno od sądu.

— A jeżeli doktór R. wróci, i będzie bronił swéj niewinności?

— Nie wróci — rzekł Nuryn ponuro.

Irreoltema spojrzała na niego badawczo, nie rozumiała pewności i stanowczości, z jaką sędzia powiedział ostatnie słowo. Nuryn zmięszał się i odparł krótko:

— Doktór R. nie żyje. A chcąc usunąć wszelkie domysły Irreoltemy, dodał: zamordowano go z powodów politycznych.

— Więc pan dajesz mi nadzieję?

— Ja nie obiecuję, wyrok nie odemnie zależy.

— Dręczysz pan nielitościwie — taka wątpliwość to tortury.

— Nie rozpaczaj pani. Zrobię, co będzie można.

Wszak pani widzisz, że nie jestem sędzią dla ciebie, ale obrońcą prawie. Będę się starał przedłużyć proces, uwaga rządu w téj chwili gdzieindziéj skierowana; kto wie, co nastąpić może.

W téj chwili drzwi się otwarły i wszedł stary służący Antoni.

— Czego tu chcesz? spytał opryskliwie Nuryn. — Kto cię tu wpuścił?

— Nikt. Pachołka nie było przy drzwiach — wszedłem sam.

— Precz! — zawołał gwałtownie Nuryn.

Służący nie ruszył się z miejsca, rozpiął tylko surdut i wyjął jakiś papier. Podając go sędziemu, patrzał na swoją panią triumfującym wzrokiem. Nuryn wyrwał mu papier z rąk i czytał z pośpiechem. Było to pismo prezesa sądu. Nuryn przeczytał — zagryzł wargi z niechęcią i rzekł:

— Idź na ustęp — za chwilę cię wezwę?

— Co się stało? spytała po jego odejściu Irreoltema — w oczach pana i jego czytam ćoś nie dobrego dla siebie.

— Ten stary zawziął się na panią — mam polecone przyspieszenie sprawy.

— Boże!

— Nic straconego. Wracaj pani do więzienia i pocieszaj się tém, że jest tu taki co myśli o tobie.

Zbliżył się do niéj i schylił się, by ucałować jéj rękę — w téj chwili uczuł na swojém czole pocałunek Irreoltemy. Był to pierwszy pocałunek kobiety — wszystkie nerwy zagrały w ciele odludka.

Dlugi czas po odejściu obwinionéj nie mógł przyjść do siebie, pocałunek otworzył mu świat, którego nie znał dotąd. Wreszcie zapanował nad wzruszeniem, zadzwonił i kazał wprowadzić świadka.

(Ciąg d. n.)

Dobrze dziewczyno?

Na co te troski na czole mojém,
Przez ciebie dziewczę jedyne — drogie?
Na co nienawiść w serduszku twojém
I gniewu twego spojrzenia srogie;
Czyżem nie dosyć cierpiał przez ciebie?...
Zawrzyjmy lepiéj sojusz ugody,
Na cóż mnie dlużéj martwić i siebie,
Czyliżem takiéj winien nagrody?
Bądź odtąd dla mnie pociech przyczyną...
Z sercem przyjaźni... dobrze dziewczyno?

A wdzięczny za to, każdego ranka
Z nową piosenką do cię przybieżę,
I sercem brata choć nie kochanka,
Słówkiem przyjaznem stwierdzę przymierze.
A kiedy na mnie popatrzysz ładnie...
To ośmielony dobrocią twoją,
Wyznam co w sercu mojém tam na dnie
Drzémię skrytego przez bojaźń moją...
Więc gdy pozwolisz — żale popłyną,
A ty pocieszysz... dobrze dziewczyno? —

Więc głosem drżącym — mową niepewną,
Jak winowajca klęcząc przed tobą,
Odkryję boleść tajemną — rzewną!...
Że ty mar moich — snów mych ozdobą!..
Że ja ubóstwiam — że kocham ciebie
Duszą i sercem — pierwszą po Bogu!
Że ty mym skarbem, gwiazdką na niebie,
Na tym ciernistym życia rozłogu.
Wtém, z cząt twoich dwie łezki spłyną,
To przebaczenie... dobrze dziewczyno? —

Wtedy szczęśliwy jak nikt na świecie,
W białą sukienkę ciebie przystroję,
Do boku mirtu przypnę ci kwiecie,
W róże przybiorę splotów twych zwoje,
I jak królową świata całego
Dumnie na ślubne wiodąc kobierce,
Oddam ci wszystko z życia mojego,
W zamian poproszę tylko o serce.
I pozostaniesz moją jedyną!...
Moim aniołem... Milczysz dziewczyno? —

J. F. STANKO.

Jagiellonki Polskie.

W XVI. WIEKU.

(Dokończenie.)

Z kolei przedstawia nam autor kobietę, która była pierwszą i jedyną miłością Zygmunta Augusta — dwudziestotrzechletnia wdowa po Stanisławie Gastoldzie wojewodzie trockim Barbara Radziwiłłówna. Jest to jedna z najwięcéj znanych historycznych postaci; dramata pod jéj imieniem pisali: Feliński, Odyniec, Magnuszewski, mnóstwo pamiętników i zbiorów listów zajmuje się jéj życiem; Simler uświetnił tę miłość słynnym obrazem jéj zgonu, o ile wiemy, pracuje obecnie i Matejko nad obrazem z tych dziejów dwóch serc.

Jest to w istocie najczulszy, najserdeczniejszy romans. W kilka lat po śmierci Elżbiety poznał ją król w Wilnie, gdzie mieszkała w spaniałym Radziwiłłowskim dworze, którego ogrody dochodziły prawie do królewskiego zamku. „Były tam cieniste z lip i jodeł szpalery, obszerne sady wisien i jabłoni, rybne sadzawki obsadzone bukietami z wonnych kwiatów i krzewów, hizopu, rozmarynu, lewandy, nardów, jaskieru, bukszpa-

nu, bzu i fijołków". Ciekawość, poznanie, zajęcie się, namiętna miłość ogarnęły króla niebawem, jak to po prostu jedna kronika wyraża: „Potém król August, gdy pochował ciało małżonki swojéj, jako pan młody i nie mogący powstrzymać przyrodzonego popędu do białychgłów, począł kochać panią Bar. R." Kazał zrobić kryte przejście z zamku do jéj dworu, aby mógł bez ceremoniału i świty odwiedzać ją, skoro towarzystwo jéj stało mu się niezbędném. Na żądanie braci Radziwiłłów, obawiających się obmowy, ustały te wizyty. Ale niezadługo przybył król znowu i zagadnięty odpowiedział: „A co wiecie? może teraźniejsze przyjście moje do waszéj siostry sprawi wam wielką chwałę, zaszczyt i pożytek". I przyprowadzono plebana, który już był zmówiony i odbył się w kaplicy ślub potajemnie bez wiedzy panów Rad duchownych i świeckich, bez wiedzy panujących królestwa. I król wziąwszy z nią ślub, taił się z tém nie mały czas, a ona mieszkała zawsze przy matce i u brata swego.

Następnie Zyg. August pojechał do Polski (r. 1547) do Krakowa, gdzie rodzice nie dawno wrócili. Przedtém bowiem z powodu zarazy przenosili się z miejsca na miejsce. „Pod pozorem powietrza królowa skarby swe i co droższe rzeczy ztąd uniosła. Starca (męża) ztąd usuwa, chcąc mu przejażdżkami, śpiewy, tańcami życia przedłużyć, albo raczéj jak starzec umrze, aby bezpiecznie z skarbami umknęła.... Synowi nie ufa, dlatego się ponad granicą wałęsa".

Królestwo odmówili wręcz zezwolenia na małżeństwo syna, mówiąc: „że to jest rzecz niesłuszna i być nie może". Wzrastało i oburzenie narodu, a najpierw PP. W. Ks. Litewskiego, gdzie, jako w dziedzicznem swojém państwie August najpierw rzecz całą wyjaśnił. „Potém wszystkim ludziom i wszystkiéj ziemi było to ożenienie królewskie bardzo niemiłe, a wielu temu wiary dawać nie chciało, mnóstwo paszkwilów o tém pisano i przylepiano do ścian zamku, ratusza i dworów pańskich i przynoszono królowi", a nakoniec doszło to i do króla starego ojca i do matki do Krakowa". Tém serdeczniejsze też listy wymieniali ze sobą młodzi małżonkowie. Powiernik Dowojna pisze do króla z zamku Dubienek, gdzie Barbara się usunęła po nieszczęśliwéj słabości: „W mych jeszcze niestarych leciech, wierzę, chociaż będzie drugiemu i sto lat, żem nie widział, któraby małżonka miała małżonka swego tak miłować bardzo jako Jéj Miłość Waszą Kr. M. miłuje swego miłościwego pana i małżonka, albowiem widziałem sam i doświadczyłem". Sama Barbara pisała między innemi: „Pesyłam W. K. M. swemu miłościwemu Panu pierścieńczynę snać figurę zegarową, aby W. K. M. raczył się wedle słońca sprawować, a na wschód do Litwy daj P. Boże prędki pośpiech. Pokornie proszę, aby W. K. M. patrząc na te dwanaście godzin, chociaż jednę sobie obrać raczył, któréjbym ja najmniejsza sługa W. K. M. mogła być w pamięci W. K. M. zachowana"....

Tymczasem umarł król Zygmunt I. w 82 roku życia, a jak Bona pisała, że z powodu onego małżeństwa syna „żał starego króla dokonał". Zaraz po pogrzebie wyjechała z córkami do Warszawy — jako iż Ks. Mazowieckie było jéj wianem, a z nienawistną synową spotkać się nie chciała. Pisała tylko: „Mamy nadzieję, iż tych, którzy na to radziwszy, syna naszego przywiedli, P. B. pokarać, a téj rzeczy nie długo trwać dopuścić będzie".

August zasiadł w Krakowie — a Barbara oczekiwała rozstrzygnięcia losu swego w Radomiu, a potém w nowém mieście Korczynie.

Senat i sejm podnieśli protest energiczny przeciw małżeństwu króla. Pisał on: „a to wszystko podobno duchem królowéj matki Naszéj", która obawiała się, że wpływ Barbary, wielce od króla kochanéj, usunie ją na bok, gdy ona tymczasem całe życie na to pracowała, aby miękkiém wychowaniem ubezwładnić syna, krępować go obojętnemi małżeństwami i zachować przez to i za jego panowania tę władzę, jakiéj za życia starego Zygmunta nabyła. — Jednak żądanie unieważnienia małżeństwa opierało się na słusznych podstawach. Najpierw sejm musiał pilnować swojego prawa, że królowi obranemu i panującemu na mocy konstytucyi, nie wolno bez zezwolenia rządu wchodzić w związki małżeńskie. Powtóre, odbyła się cała rzecz potajemnie, bez zachowania decorum i splendoru, którym królowa polska otoczoną być winna. Potrzecie, małżeństwo to mogło jednę rodzinę zanadto wynieść, zkąd dla wolności i równości zwykle urastają niebezpieczeństwa.

Lecz król oparł się jedynie na prawach serca. „Małżonkę naszą, iżbyśmy mieli opuścić, tego się nam uczynić nie godzi, gdyżeśmy przysięgli do śmierci naszéj nieopuszczać. A w téj rzeczy większe na Pana Boga a na ślub baczenie mamy, niż na co innego"... „Ależ rozumieć możecie, iżbyście i sami złéj nadziei o nas i o przysiędze naszéj być mogli, gdybyście widzieli, że jéj Panu Bogu w małżeńskiéj obietnicy nie dzierżymy"... Bo acz Pan Bóg przełożył nas stanem ale w tych rzeczach, które się wiary ustaw a zakonu dotykają, tedy nas równym z innemi udziałał"... „Co się stało, odstać się nie może; a wam przystało nie o to mię prosić, iżbym żonie wiarę złamał lecz o to, iżbym ją każdemu człowiekowi na świecie dochował. Przysiągłem żonie, téj nie odstąpię, póki mię P. Bóg na świecie zachowa; a milsza mi jest wiara moja, niż wszystkie na świecie królestwa". Takie były odpowiedzi i stanowczość króla. Wśród walk przesuwa się i obawa o życie Barbary. Pisze on po kilkakrotnie: „Żeby tam na pokoju królowéj Jéj M. białogłowy pić nie dawały, a zwłaszcza z kubków; albowiem jednak

ze szklenic łacniéjby się wszystko zobaczyło"... „A wszakoż pomnąc na dzisiejszego czasu przewrotność, abyście i na te (Panie) co przyjeżdżają nawiedzać (królową) trzecie oko chowali". Nie ustawały téż ciągłe paszkwile i obmowy, o czém król pisze: „Co się tycze tamtych bab, iż jako nam piszecie nieustannie r z e g o c ą; tedyć to jest zdawna wszystkich bab natura, iżeś ich myśli nigdy uspokoić nie mogą; a snać tém i ze złemi duchami zdają się mieć coś wspólnego". Nareszcie sprowadził król Barbarę do Krakowa. Rok 1549 przeszedł spokojnie. Bona nieprzestawała intrygować, tém bardziéj, że król małżonkę ukoronować postanowił. „Zwlaszcza o tém się rażnie słyszeć dawa, pisze on o matce, iż nic by raczéj widzieć chciała, tylko śmierć, gdzieby koronacya małżonki dojść miała"... a tak potrzeba, jakby się to wszystko przed matką naszą ukryć mogło, która gdzieby to najmniéj poczuła, ni o czém by więcéj bez pochyby nie myślała, by téż nietylko pieniądze, ale i zdrowie na to ważyć, bo się już tak w tém jawnie słyszeć dawa, jakoby jeno ten koronacyi akt rozsypać mogła". Opór stanów przeciwnie ustawał i koronacya na przyszłoroczny sejm odbyć się miała.

Pożycie królewskie oprócz tych kłopotów zatruwała jeszcze chroniczna choroba królowéj, która niszczyła jéj zdrowie i piękność. To też opisując matce cierpienia swoje, dodaje w końcu: „Mileńka Pani Mateńko, W. M. bardzo proszę o bielidło, bo go ni troszeńki nie mam, a zatém proszę, aby mię W. M. zapominać nie raczyła jako sługi i dziewki". Choroba psuła jéj téż i humor i czyniła nieznośną dla ludzi i apatyczną. Skarży się sekretarz jéj w tajnych listach do brata królowéj — iż nie dba ona o pozyskanie serc ludzkich, że nigdy za nikim się nie wstawi; „ale wiem, że to nie z złością czyni, lecz dla jakiegoś rozprzężenia ducha, a niedbałością, z czegoby ją bardzo potrzeba przestrzegać, a wczas niż ludzie więcéj na zęby wezmą!... przypisują (jéj) gniew, leniwe ubieranie, musi czasem król czekać godzinę nim się w y b u r d a". Panowie chcieli córki z fraucymeru odbierać „prze jakieś częste f u k i, które im się dzieją od królowéj". „Otóż ludzie, ba i panowie tak mówią: Ta Pani nikomu nic czyni wczas, jedno sobie. Jeżli na Radę Pańską nie dba, tedyby wżdy tego strzedz miała, aby jéj król nie czekał". Lecz król kochał ją tak, iż ludzie mawiali: „Nasz pan wszystko u królowéj Jéj M. przesiedzi... na sprawach Rzeczypospolitéj bardzo bywa płochy, a tęskliwy dla tęskności bez królowéj". Załatwiał téż wszystkie trudności, żeby koronacją przywieść do skutku jako ostatnią pociechę Barbary wśród męczarni choroby „niczego sobie więcéj nie życząc (Barbara) jakby choć dzień jeden po koronacyi przeżyć".

Aż nareszcie w grudniu dopełnił się akt ten z wszelką okazałością. Ale już królowa odpowiadała winszującym ze smutkiem: „Do innéj mnie korony Pan Niebieski powołał, proścież go tedy za mną, aby to ziemskie berło na palmę niebieską zamienił, a miłego męża mojego w żalu po mnie utulił".

Bona czy w nadziei blizkiego skonu synowéj, czy w innym zamiarze, zbliżyła się teraz do niéj, pisząc czułe listy, wskutek czego król znowu pisał: „Owo ku wieczerze trzeba będzie przyglądać".

„Niebezpieczeństwo wzmagało się już z każdą chwilą — (Były to wrzody jakieś: rak, albo skir). Chora pragnęła zmiany powietrza. Król kazał zbudować niezmiernie wielką kolebkę dla przeniesienia Barbary do Niepołomic; a gdy się w bramie miejskiéj nie mieściła, miano w murze wyłom zrobić, ale robotę tę uprzedziła śmierć królowéj. Już od dni kilku straszliwe wyziewy choroby wszystkich oddalały od łoża Barbary; jeden król tylko dzień i noc przy niéj siedział — aż 8go maja, w pięć miesięcy po koronacyi skonała.

Król zrozpaczony, który dla uratowania żony nawet do czarów chciał się udawać, przez trzy tygodnie nie odstępował kolebki ze zwłokami ukochanéj małżonki, jadąc za nią konno aż do Wilna, gdzie pochowaną została. Żałość po jéj stracie odebrała mu już na całe życie ochotę do małżeństwa. Pamięć jéj pielęgnował w duszy aż do grobu — nawet szaty jéj łzami zroszone przekazał w testamencie siostrze Annie do przechowania. Orzechowski pisze w rocznikach: „Wielką nauką dla królów jest ta niewiasta; jak nie przystoi im dla nietrwałych rzeczy, narażać się na wiecznotrwałe niesnaski; jakiemi usiłowaniami król tę małżonkę zatrzymał, okazaliśmy wyżéj; a przedmiot taką walką zdobyty, jeden dzień mu wydarł, wiele nasienia kłótni zostawiając w Polsce".

Na tém kończy się tom I. Pominęliśmy niektóre wzmianki o królewnych sierotach — mianowicie Annie, późniejszéj żonie Stefana Batorego, i Katarzynie, późniéj królowéj szwedzkiéj — zostawiając to do całości obrazów ich życia, które nam Sz. Autor zapewne niezadługo w drugim tomie z równą starannością zestawi.

OBRAZY I OBRAZKI
z tatrzańskiéj wycieczki.

(Ciąg dalszy.)

III.

— Spieszta się panoczki, bo słonko już dobrze zeszło z południa.

Tak upominali nas nasi przewodnicy obladowani tłumokami, zaglądając co chwila okienkami do izby.

— Zaraz, zaraz — odezwało się kilka głosów.

Wszyscy krzątaliśmy się z pośpiechem. Na wychodném każdy miał jeszcze coś do załatwienia; ten pro-

chem nabijał pistolet, tamten ziemniakami zabezpieczał się od głodowéj śmierci, Sonatowski gdańskówką napełniał oplataną flaszkę i przysłuchiwał się z zajęciem jéj „szatańskiemu bełkotaniu“ — a professor przed kawałkiem zwierciadła układał swą brodę podług wzorów greckich filozofów.

— A cóż ty Ksawerku, nie pójdziesz z nami? zagadnąłem expoetę, który najspokojniéj układał kollekcyją swych krawatek podług szerokości i kolorów.

— Dajcie mi święty spokój, już mam po uszy tych wycieczek — odrzekł niechętnie. Zresztą w czémże pójdę?

— A to szare ubranie.

— Wszak wiesz, że je na nic stargałem — na kościeliskiéj wycieczce cała moja tatrzańska elegancja w łeb wzięła. Mój Boże — surdut, za który dałem 30 guldenów, który mi tak ślicznie leżał, obrzydliwa przyroda zamieniła mi w wiązkę strzępów, przydatną jedynie do straszenia wróbli w konopiach. Ten surdut to był moją dumą, mojém szczęściem.

— A przecież ci gospodyni pozszywała to szczęście.

— Tak, igłą jak patyk grubą i szaremi nićmi, że arcydzieło krawieckie podobniejsze teraz do żółwiéj skorupy. Doprawdy do tych złodziejskich gór nie tyle doktory, ile szewcy i krawcy powinni wysełać ludzi.

— Ale chodź, chodź, nie marudź — odezwał się Dezydery, właściciel pistoleta. Będzie panna Herminija, a to niczego panna.

— Tylko gola — zauważył Bolek.

— Ależ nie prawda — ma coś.

— Zkąd wiesz?

— Mama jéj mówiła.

— Dziękuję za taką hypotekę.

— No, no, chodź Ksawerku — odezwał się Sonatowski — i potrząsając mu flaszką koło ucha dodał: Słuchaj, na jak wysoki ton nastrojona gdańskówka.

— Nie namawiajcie go panowie — rzekłem kryjąc uśmiech pod wąsem — Ksawerek zostaje, bo się spodziewa wieczorem wizyty.

— Panowie, rozmowa staje się niemoralną — rzekł z powagą profesór.

— Mój kochany — dodał urażony Ksawerek — przecież jeżeli Kasi darowałem wyszarzaną krawatkę, to jeszcze to nie usprawiedliwia cię do robienia podobnych przypuszczeń...

— A któż mówi o Kasi?

— Mówisz o jakiéjś wizycie wieczorem.

— Mówię o wizycie Mateja.

Ksawerek osłupiał.

— Jakto? zapytał strwożony ledwie dosłyszanym głosem.

— Nic prostszego. Wszak wczoraj był z wizytą tu za strumykiem u grubego Jonka i zabrał sobie całą spiżarnią na pamiątkę.

— I ty myślisz, że to był Matej?

— Może i nie on. Ale mnie się zdaje, że ci mało na tém zależy, czy będziesz zrabowany przez niego, czy przez innego.

— Zamknę drzwi.

— Dla złodzieja każdy otwór jest drzwiami.

— Na miłość Boską to zaczekajcie, pojdę z wami — i począł się z pośpiechem ubierać.

— A ty prędko nabijesz żołądek ziemniakami? spytałem jedzącego.

— Toż będzie strzelał — zawołał uradowany Dezydery zakładając kapsle u rewolwera — nie szczędziłem prochu.

— Ksawerku, cóż ty na bal idziesz? zawołałem zobaczywszy Ksawerka wystrojonego całkiem czarno, w świecących lakierkach i stojących kołnierzykach.

— A cóż włożę? to tylko zostało mi.

— Weź stare — będzie wygodniejsze.

— Chcecie, żebym się na śmiech wystawił.

— Ależ zniszczysz na nic swoją ostatnią elegancją.

— Będę ostrożny. Zresztą wolę ją zniszczyć, niż zostawić dla Mateja.

— Chodzta, chodzta panocki, bo się nie skoro zaciągniemy do Gąsienicowych stawów; — wołali na nas przewodnicy.

— Chodźmy, chodźmy.

Ruszyliśmy wreszcie w drogę koło czwartéj, wśród śmiechów i śpiewów. Pogoda była prześliczna — niebo czyste jak błękitne jezioro, po którém żeglowało kilka obłoczków jak białe motyle. Cały krajobraz tatrzański złożony z granitowych nagich skał i lasów, co je spodem wieńczyły, powlekła pogoda lekką niebieskawą zasłoną — im odleglejsza góra, tém gęstsza zasłaniała ją szyba błękitu. Droga prowadziła nas jakiś czas w cieniu drzew leszczynowych, wnet jednak musieliśmy ją opuścić, przejść małą kładkę rzuconą nad parowem, w głębi którego wśród łopuchów i podbiałów sączył się ze szmerem nie wielki strumyk i iść odtąd otwartém polem ścieżką przez zieloną dąbrowę. Minęliśmy las i kuźnice zakopańskie i od karczmy skręcaliśmy na lewo na ławę prowadzącą po nad szumiącemi i kłębującemi się wodami Białego-Dunajca. Po niedługim marszu ujrzeliśmy się na polanie Jaworzynce. Mnóstwo kamieni, któremi polana ta jest zarzuconą, robi zdaleka wrażenie pasących się owiec, szkoda, że właściciele polany nie mogą tego złudzenia zużytkować na swoją korzyść. Polana jest zaniedbana i mało owiec żywi. Po lewéj jéj stronie wznosi się wysoki, ale posępny i nagi Boczń — istny cmentarz przyrody. Tak tu wyglądało, jakby ogromny pożar przeszedł tędy, zamienił lasy w popioły, a popioły w kamienie, nigdzie krzaku ani drzewa, cała góra naga, szara, na niéj garbate tu i owdzie wyniosłości, niby kurchany stare i rozwalone. Ani oko, ani ptak nie rozweseli się i nie zatrzyma

długo na tém pustkowiu i chętnie się zwraca w drugą stronę polany na wzgórze porosłe gęstym lasem i umajone zielonością. W tych ramach zieleni i martwoty widzisz wychodząc ze stepu ową polanę, kilka dziurawych i napółrozwalonych szałasów, a za niemi w głębi M a g ó r ę 15463 stóp n. p. m. mającéj tak z powodu kształtu jak i jasnawéj zieloności wielkie podobieństwo do kopy wyschłego siana. Górę opasuje biała ścieżka wznosząca się miarowo w górę. Jest to droga zrobiona umyślnie dla przewożenia rudy żelaza — nią doszliśmy wygodnie i bez trudu do kopalń (jeżeli tak można nazwać kilka nędznych szałasów dla robotników i parę jam ocembrowanych, opuszczonych i zaniedbanych). W wilgotnych jamach ochłodziliśmy się nieco — natrafiliśmy nawet na jakieś źródło, którego wodą odwilżyliśmy zeschnięte gardła i ruszyliśmy daléj. Nie zadługo stanęliśmy na grzbiecie góry, która tutaj łączy się z K r ó l o w ą; jak spokojne konie na pastwisku, które łby sobie na grzywach kładą. Na grzbiecie góry trafiliśmy na piękny obrazek. Pod złomem skały porosłéj młodą sosninką i paprociami, leżała mała dziewczynka w koszulce i niebieskiej spodniczce, z jasnemi warkoczami na ramionach, gołe, opalone rączki podłożyła pod główkę i patrząc się w niebo słuchała, co jéj grał na skrzypcach młody pastuch w guńce potarganéj z rozwianym, czarnym włosem koło zamyślonego i smutnego czoła. Ktoby chciał upostaciować sobie poezją ludu, nie mógłby stósowniejszego dobrać obrazu. Przybycie nasze zburzyło ten obrazek. Góral grać przestał, a dziewczynka podniosła się z ziemi i zdziwionemi patrzała na nas oczami. Elegancki Ksawerek, by ją ośmielić do nas podarował jéj czerwoną wstążeczkę, którą dziewczyniątko z naiwną wesołością poczęło się bawić — a wesołość jéj jak w zwierciedle odbijala się na twarzy górala, który kapeluszem i miłym uśmiechem za tę uciechę zrobioną małéj podziękował.

— Czy to twoja siostra?

— Haj, panoczku.

— I cóż ona tu robi na halach?

— Matka zmarła łoni, więcja jéj i matką i bratem; żywię przy sobie i bawię ją jak mogę.

— Zagrajże nam co.

— E, panów by nie bawiło takie granie; dla nas to dobre i takie na rozweselenie. A to co piszczelet macie? zawołał nagle spostrzegłszy u Dezyderego za pasem rewolwer, a oczy jego matowe i smutne roziskrzyły się nagle radośnie.

— A umiesz ty strzelać z takiego pistoleta? spytał Dezydery podając mu rewolwer.

— Je, to jakaś śmieszna i ciekawa psiapara — mówił oglądając go i rozpoznając jego budowę mądremi oczami; potém odwiódł kurek; pociągnął i wypalił. Echo wrzasnęło po skałach — tatrzański orzeł zerwał się z jakiegoś urwiska, zakołował w górze nad nami i puścił się ku równinom. Patrzeliśmy za nim jak malał nam w oczach w małą ptaszynę, muszkę, punkt czarny — aż zniknął nam z oczów.

— A to co? spytałem górala — co się tam bieli na równinach, co to za skały.

— To Czorsztyński zamek tak się bieli na skałach. Niedaleko pod nim mamy naszą chatę.

Chcieliśmy dłużéj nacieszyć się widokiem, jaki nam się ztąd odsłaniał na równiny, wyglądające jak marmurowa szachownica z różnych odmian zieloności; ale przewodnicy naglili nas do dalszego pochodu, obiecując piękniejsze widoki. Nie zwodzili nas. Nie daleko ztamtąd grzbiet góry w stromą przemienił się ścianę— wązka ścieżka czepiając się nierówności ścian, sprowadziła nas w dolinę, na któréj wśród pięknéj zieloności stało kilka szałasów, nie duży kawałek świerkowego lasu, brzegiem którego płynął strumień, wychodzący z Gąsienicowego stawu. Dolinę zamykał wał, za którym błyskała zwierciadlana szyba stawu, a za nią występowały ostre krawędzie skał, ustawione po za sobą niby dekoracje teatralne; z boku jeżył się nagi grzbiet K o s z y s t é j, pręgowany białemi pasami rozsypisk i wyschłemi łożyskami strumieni.

Sznurkiem po jednemu spuszczaliśmy się w dolinę, na któréj odzywały się głośne, przeciągłe hukania juhasów i szczekanie psów. Te ostatnie nie tylko na słuch nasz nieprzyjemnie działały, bo kiedyśmy zeszli na dolinę tak niegościnnie nas obsiadły, że z trudnością im się ognać mogliśmy. Szczególniéj do balowego stroju Ksawerka uczuły niewytłomaczony pociąg i nim przewodnik mógł nadbiegnąć z kijem, jeden z tych kudłatych niegrzeczniusiów zdołał pochwycić w zęby kawałek z jego dolnego ubrania i unieść z sobą.

— Na miłość boską moje... — zawołał z wrzaskiem Ksawerek.

— To jeszcze wielkie szczęście, że ci nogi nie uszkodziły — pocieszał go Bolek.

— Niech tam licho weźmie takie szczęście — lamentował poszkodowany. A tymczasem jakaś dziewczyna stojąca przed szałasem zanosiła się od śmiechu. Poznałem ją zbliżywszy się — była to moja tancerka z ostatniego wesela: Hanka Siewika.

(Ciąg d. nast.)

TEATR. *Zborowscy.* — *Intryga i miłość.* — *Cyganie.* — *Karliński.* — *Nowe komedje.*

Tragedja *Zborowscy* p. Józefa S z u j s k i e g o, o któréj dopiero teraz piszemy, gdyż myśleliśmy, że drugi raz przedstawioną będzie — ma za tło jedną z najważniejszych epok naszéj historyi, ów stanowczy przełom naszego życia politycznego, z którego jedna pochyłość

prowadziła do rozwoju, postępu, udoskonalenia, a druga do swawoli, do anarchii, do upadku.

Świetne dwuwiekowe panowania Jagiellonów spotęgowały dumę narodową, a przywileje na królach wyzyskiwane przez szlachtę wyłącznie na swoją korzyść ze stratą państwa i narodu, doprowadziły ją do wolności krańcowéj, bezwzględnéj; i demokratyczne zasady utonęły w możnowładczéj prywacie. Ostatnie czynności Zygmunta Augusta przeprowadzone osobistym wpływem króla i jego zaparciem się siebie samego, pieczętują period naszego rozwoju politycznego, moralnego i umysłowego.. Pierwsza i druga elekcja zamiast przyczynić się do ukonsolidowania głównych czynników w państwie i narodzie, przeciwnie i coraz więcéj pchały szlachtę do swawolnéj wolności, a możnowładztwo do oligarchii anarchicznéj, do prowadzenia polityki na swą rękę. Na tém tle osnuł autor znaną fabułę o losach rodziny Zborowskich. Połączenie to polityki, doktryn z właściwą akcją, nie udało się; zamiast nawzajem się uwydatniać — dramat staje się rozwlekłym, niewyraźnym — trafnie powiedziano, że jest to dramat samych projektów.

Ważniejsze postacie są: Stefan Batory, Jan Zamojski, bracia Zborowscy.

Stefan Batory (p. Wolski), ten król pełen energii, ze wszystkich panujących pojmujący nasze posłannictwo najdokładniéj i znający nasze ujemne strony, dopiero w epilogu na łożu śmiertelném występuje w całéj swéj wielkości.

Jan Zamojski (p. Feliks Benda), jedna z wybitniejszych osobistości naszéj przeszłości — wielki hetman, kanclerz, mąż stanu, lecz zarazem nieszczęśliwa postać historyczna — pierwiastkowo by dojść do władzy, opiera swe czynności na schlebianiu namiętnościom i słabościom szlachty, następnie zwija ten sztandar i staje się możnowładcą, a nawet po części oligarchą, z tą jednak różnicą, że rozum polityczny podtrzymuje go od wejścia na tory anarchii, lecz wskazał on fatalną drogę, którą się tam dąży. Postać taka, która prawie z niczego doszła do szczytu władzy, do możności zrzucenia jednego a postawienia drugiego króla na tronie, musiała zawsze w sobie mieć silny zasób woli i energii. — Autor zaś przedstawia go nam czułym, mdłym teoretykiem. — Jest to wręcz przeciwne z naturą rzeczy, jeżeli widzimy ludzi czynu deklamujących tyrady liryczno-mgliste; a do tego skrzywioną tę postać zepsuł do reszty p. Benda swoją zwykłą patetycznością, którą pomimo ciągłych wezwań krytyki, zasadza zawsze na wywracaniu oczu, grobowych pozach i głosie albo za wysokim, albo za niskim — a zawsze chropowatym i niedosłyszanym.

Samuel Zborowski (p. Ładnowski syn), ten jedyny może w naszéj historyi typ prawdziwego rycerza błędnego w połączeniu z awanturniczością polityczną, a przytém i charakterem namiętnym, ognistym, gwałtownym lecz serdecznym, uczuciowym, również przez autora przedstawiony jest mazgajowato. P. Ł. ratował tę postać ile mógł.

Andrzéj i Krzysztof Zborowscy, dwa charaktery niby na pierwszy rzut oka przybliżone do siebie, lubo w podstawach zasadowych wielce się różniące, przedstawiają w dramacie magnatów oligarchów, działających na swą rękę z pominięciem obowiązków względem swéj ojczyzny, dla zbyt wygórowanéj fałszywéj miłości własnéj i dumy rodowéj. — Andrzéj nie jest konsekwentnie przeprowadzony do końca. — Krzysztof podobny mu usposobieniem ale z dodatkiem trochę serca i sumienia, które upominają się o swe prawa. P. Rapacki grą swoją utworzył z téj roli skończony charakter. P. Wolański utrzymał rolę Andrzeja.

Dwie postacie: matka Zborowskich (pani Hofman), i Kościesza domownik Zborowskich (p. Dobrzański), pomimo, że stanowią drugorzędne postacie, jednak są wybornie nakreślone — a pani H. swą grą potrafiła się utrzymać na stanowisku prawdziwéj staropolskiéj matrony, któréj w chwili odkrycia wielkiéj zbrodni swych synów, z rozpaczy i boleści pęka serce jako matce i Polsce. — P. Dob. również dokładnie pojął i oddał postać Kościeszy.

Gryzelda (p. Modrzejewska) w 3cim akcie w scenie z Samuelem, i w 5tym w scenie w więzieniu kiedy odwiedza i żegna Samuela w przytomności męża — afektacją tych scen podniosła jeszcze całym swoim artyzmem. Lecz autor dla efektu dziwne wymyślił tu drogi: raz narzeczony zostawia swą bogdankę w objęciach kochanka, drugi raz mąż przyprowadza swą żonę do więzienia, żeby się pożegnała z rywalem jego. Ma to być szlachetność — ale przedewszystkiém nie ma w tém prawdy ludzkiéj. — Postać błazna Gąski i pazia zupełnie są zbyteczne i niepotrzebne. Publiczność nie mogła do końca nastarczyć uwagi i zajęcia, skutkiem tego epilog, zawierający najpiękniejsze sceny, przeszedł niepostrzeżenie bez wrażenia. Tragedja ta napisana ślicznym językiem i potoczystym wierszem, zawiera w sobie pojedyńcze porozrzucane wielkie myśli, lecz dla braku wykończenia całości, trudno je w jedność ująć. Autor w wielu miejscach nie trzymał się wierności historycznéj. Nie jest to bynajmniéj błędem, gdy te odstąpienia idą na korzyść utworu, lecz gdy przeciwnie rozminięcie się z historją obraca się na niekorzyść, to jest dowodem, iż autor szuka tylko za efektem zewnętrznym. W tym też jedynie celu (może dla dystrakcyi publiczności) wprowadza autor duchy — bez uzasadnionéj dramatycznéj potrzeby.

— Dramata *Intryga i miłość*, *Cyganie*, przedstawiają wyłącznie walkę tych namiętności, z których miłość ma swoją świtę, albo sama przez się, albo w zetknięciu z wynaturzonemi warunkami świata. Rozbierać ich szerzéj nie będziemy — odwołując się na przeszły

rocznik „Kaliny“, nie można ich jednak pominąć, gdyż są to rzeczy zawsze świeże i zawsze prawdziwe — zewnętrzne okoliczności mogą się zmieniać, różnice stanów mogą się zacierać — ale istota rzeczy, prawa serca i hydra przesądów pozostały te same choć w odmiennéj postaci. I smutną prawdę odsłaniają nam poeci w tych utworach. Z jednéj strony widzimy, że każda namiętność, jeżeli jest wyłączna — a przychodzą one mimo woli — tyranizuje i najsilniejszych ludzi, wytrąca z równowagi i rzuca w przepaście, które dla przeciwnych sobie żywiołów staje się wspólnym grobem. Ale co gorsza, widzimy z drugiéj strony, że uczucia dobre, dodatnie, nie mają nigdy takiéj mocy nad człowiekiem, jak uczucia złe. Dobre, nie wytężają tak wysoko ani fantazyi, ani woli, ani wszelkich innych sił życia, jak złe. Podobnie jak na szczęście i zadowolenie mamy zaledwo jeden wykrzyk i jedną łzę — ubodzy pod tym względem jesteśmy — przeciwnie nieszczęście, złość i rozpacz ma szerokie usta, niestrudzony język, szalone ruchy i niewyczerpane płuca. Tak w *Intrydze* major, nie jest wstanie miłością swoją ocalić Ludwiki i siebie przed podstępami i brutalstwem arystokratycznych przesądów — a przeciwnie zazdrość jego, zemsta i pogarda znajduje sobie zaraz radę i podaje mu truciznę dla niéj i dla niego. Tak w *Cyganach* miłość Guldy nie jest wstanie zdobyć się na tę moc i czar, żeby Nanga zatrzymać przy niéj — ale zazdrość jéj od razu na czyn się zdobywa — zabija i jego i siebie. Czyżby mieli słuszność poeci, że natura ludzka ma więcéj talentów do wylęgania gadów, jak do próbowania białych skrzydeł? Czyż tylko tém pocieszać się trzeba, że błogosławieństwo jednéj chwili szczęścia i pogodnego pokoju, więcéj waży w życiu niż całe lata kwasów i zamętu?

Co do przedstawień — wypadły one znakomicie — gra była doskonałą. Tylko w *Intrydze* powinien prezydenta grać p. Rapacki — bo jest to rola zupełnie obca dla p. Bendy; a p. Modrzejewskiéj zwracamy uwagę na scenę pisania listu w Intrydze — gdyż szkoda, żeby ta scena nie robiła należytego wrażenia. Otóż Ludwika zmęczona powinna potoczyć się mdlejąc ku oknu, aby się powietrzem orzeźwić — tymczasem nagłe zerwanie się i odepchnięcie okna, chybia celu — widz nie rozumie ruchu tego, nie wie czy ona kogo zobaczyła, czy chce wyskoczyć?

— Sprawozdanie z przedstawienia „*Karlińskiego*“ Syrokomli zachowujemy sobie na późniéj. Obecnie bowiem musimy jeszcze zapisac, że komedja poczyna się u nas znacząco ożywiać. „*Polowanie na męża*“, tę głębszą polityczną komedją M. Bałuckiego grano po raz trzeci z powodzeniem ciągle wzrastającém. — „*Zawieruchę*“ wdzięczny, salonowy obrazek Wł. Koziebrodzkiego grano drugi raz z gustem i humorem, inspirowanym widocznie obecnością autora. — Również pod okiem autora ślicznéj krotochwili „*Przed śniadaniem*“ Aleks. Fredry (syna) odbył się następnie triumf najnowszéj jego komedyi: „*Posażna jedynaczka*“. Jest to genialne paperstwo — założenie bowiem jest nieprawdopodobne, gdyż trudno w stosunkach dzisiejszych, ażeby szlachcic mógł ukryć, że ma 5 córek, nadto z drugiéj żony jeszcze potomstwa się spodziewa — i każdą córkę wydawać za mąż jako jedynaczkę, więc i jedyną spadkobierczynię. Nagły zjazd całéj rodziny stanowi kolizją, burzącą systemacik szlachcica, dowcipnego wygi. Jednak publiczność nie ma wcale czasu zwrócić uwagi na nieprawdopodobieństwo: rzecz bowiem odbywa się tak ruchliwie, ścigają się sceny tak dowcipne, charakterystyka wszystkich osób, aż do lokaja-rzędy, jest tak śmiało w kilku rzutach ujęta, że komedyjka ta pozostanie na zawsze receptą na szalony śmiech. Humor i dowcip staropolski, nietendencyjny, ten humór, który napotykamy we fraszkach Kochanowskiego, w Fredrze (ojcu), w p. Tadeuszu, w Soplicy i w Pasku śmieje się do nas pełnemi ustami z téj krotochwili, zaś talent autora widać w naturalnéj scenery i w wspomnianéj już charakterystyce osób. Jedna tylko jest scena Henryka z Kamillą po śniadaniu, która tworzy zgrzytliwy dyssonans. Widocznie autor zapomniał się tutaj na niekorzyść swoją i prawdy, a publiczność doznaje wśród zabawy przykrego uczucia. Scena ta powinna być wyrzuconą, témbardziéj, że jest zupełnie do budowy niepotrzebną. Nadto nasuwa się koniecznie uwaga, że powinna pod koniec pojawić się druga żona — podniosłoby to plastycznie dowcipny plan papy obmyślany w tym celu, żeby córkom z pierwszéj żony nie już całego posagu, ale wcale nic nie dać. Jest to luka, którą należy zapełnić, bo każdy widz stawia pytanie: a gdzież jest pani domu?

Artyści wszyscy bez wyjątku grali wybornie, z całą prawdą, co tém więcéj na uznanie zasługuje, ile że w sztuce téj daleko więcéj znaczą sytuacje jak osoby.

— „*Nie mów hop aż przeskoczysz*“, nowa krotochwila Winc. Bobrowskiego — grana już przez amatorów — wydała się tém lepiéj w rękach artystów. Jest to żywa anegdotka, nie bez głębszéj nauczki.

— Dowiadujemy się, że premium konkursowe we Lwowie waży się podobno między trzema sztukami: „Tarło“ Ad. Bełcikowskiego, „Powstanie w Dalekaryi“ Faleńskiego, i „Żyd“ Ed. Lubowskiego. S.

MODY.

Mody wiosenne już się ustaliły, zaczynamy więc opisem najświeższych kapeluszy, które gustem i kształtem nie ustępują swym poprzednikom. Najpierw kapelusz w rodzaju maleńkiéj ukośnéj chusteczki, z różowéj krepy, na boku bukiecik róż, w tyle spada duży biały welon, tak zwany „mantylka hiszpańska“, z przodu na piersiach spięcie z róży z liśćmi.

Czarny koronkowy kapelusz z diademem sieczkowym, okryty czarnym koronkowym kapturkiem, z pod którego widać pąsową kamelją.

Kapelusz okrągły „Taque“, naokoło obszyty frandzlą z piórek, spiętą z boku agrafką złotą.

Jeszcze dwa kapelusze wizytowe. Jeden rypsowy czarny, opasany dwiema złotemi przepaskami, pomiędzy któremi ułożone są pawie pióra — do wiązania szarfy iluzjowe czarne; drugi także czarny w rodzaju chusteczki z mantylką czarną, zarzuconą paciorkami, diadem z paciorków, na tył głowy opada długa gałązka róży.

Suknie do ubrania zwykłego, do wizyt i weselne lub balowe są ogólnie tak bogato przybierane jak i dawniéj w opisach naszych donosiliśmy. Suknie gładkie w kliny bez żadnych fałdów nie są już modne, są one ciągle w kliny krajane lecz tak, aby na każdym klinie był jeden płaski fałd złożony.

Suknia wieczorowa z atłasu ciemno niebieskiego, ubrana falbanami z koronek, które dochodzą z boku aż do pasa, ku górze coraz bardziéj w ząb. Grecki stanik z tiulową koszulką, ubraną koronkami. Wysoka fryzura ozdobiona złotemi wisiorkami. Kolczyki, naramienniki i medalion na szyi złote.

Suknia balowa lub weselna z białéj gazy wełnianéj, na dole obszyta szeroką falbaną białawą, na któréj są wyszycia z białego atłasowego rulonika ze złotym szutasiem. Nad tą jest druga falbana tak samo obszyta, lecz po obydwu bokach podpięta złotemi winogronami z czarnemi aksamitnemi liściami, z przodu na sukni wyszyty rulonami atłasowemi i szutaziem fartuszek. Także sama falbana jak od dołu, zakończa staniczek w pasie, naśladując Basquine. Stanik mocno wycięty, wyszyty podłuż rulonami atłasowemi na ramionach, ubrana winogronami złotemi.

Inna suknia z różowego tarlatanu, pokryta białą gazą, ubrana bukiecikami białéj hortenzyi, która na swych łodygach lekko spadała i po sukni rozpięta była, we włosach takież kwiaty.

Biały bez w bukieciki ułożony na jasno-niebieskiéj sukni, we włosach także bez.

Z kwiatów najwięcéj używane pół-wieńce, gdyż te każdą twarz dobrze ubierają, gdy przeciwnie ubrania płaskie tak zwane „Ceres“, wymagają rysów więcéj regularnych.

Następujące suknie są bardzo eleganckie do wizyt i do wyjścia zwyklego. Z różowéj materyi na długość spodnicy obszywana białą gipiurą, wycięty w czworogran, stanik ubrany gipiurami i aksamitem czarnym. Szarfa szeroka z czarnego aksamitu.

Druga złożona z dwóch spodnic, z których pierwsza czarna mantynowa, druga w paski czarne i zielone — także jedwabna. Paletocik czarny mantynowy lamowany atłasem, kapelusz czarny ze stalowym diademem. Wstążki do wiązania aksamitne.

Krynoliny pozostają tylko do sukien powłoczystych, zastępują je nawet spodnicami włosiennemi.

Wyszły nowe francuskie modele, ubierane w kolorach jaskrawych grubym jedwabiem, w sposób taki, iż naśladuje paskowaną w różne kolory wstążkę, robi się to ściegiem łańcuszkowym. Podajemy wzór na takie wyszycie.

Ładne również są wyszycia z wązkich ruloników, przytrzymanych bokami ściegiem łańcuszkowym.

Paletoty i kaftaniczki lamują na szerokość palca atłasem; potém idzie 3 — 4 — 5 — lub 6 razy gładko ścieg łańcuszkowy, daléj znowu rulon na palec szeroki.

Najbardziéj noszą półdługie i krótkie żakiety i katanki z tą różnicą, że się nie wycinają dołem w zęby, a zamiast zapięcia na środku, bywa takowe z lewéj strony blizko ramienia, wprost lub więcéj w ukos umieszczone. Ubrań z paciorków już nie widać wcale na paletotach i okryciach damskich. Dobrze bardzo ubiera naśladowana szarfa na paletocie. Są to do rulonów jeden obok drugiego przyszyte od przodu tj. od pasa z przodu gdzie się kończą guziki przez lewe ramię w tył przez plecy ku prawemu bokowi i tam zakończone okrągłą rozetą atłasową. Szarfy do sukien znacznie zostały skrócone i tylko przy paskach je noszą. Są one także robione w rodzaju połów od fraka, które od stanika wychodzą, jednak nie długie. Dołączamy podobny krój.

Fig. 5—9. jest z pojedyńczém obszyciem szmuklerskiém. Pasek z rozetą.

Fig. 10—13. Ten sam krój, lecz z łatwością można zastósować do wyżéj nadmienionego. Stan i Basquina obszyte 2—3 centimetrów szerokim rulonem. Pasek można złożyć w pliski, pomiędzy niemi wpuścić wypustkę z atłasu, która z pomiędzy fałdów jak wązki prążek wygląda. Takie paski są bardzo modne.

Do sukien krótkich dają dołem falbanę szeroką, składaną w głębokie fałdy.

Opis ryciny.

Pierwsza osoba nosi ubranie spacerowe, z jasnéj wełnianéj materyi, krajane wraz ze stanikiem w kliny.

Druga osoba ubrana w czarny jedwabny paletocik, z obszyciem szmuklerskiém. Na paletocie jest wyszyta tąż samą krepiną katanka à la Postillon. Krój dołączony na arkuszu.

Trzecie ubranie krótki z tuniką stan z wyłożeniem z przodu, rękawy szerokie „à la Louis XIII.“, po bokach tunika fontaziami podpięta.

Opis krojów. Arkusz I.

Fig. 1—4. **Paletot wiosenny**, jest z materyi jedwabnéj, dosyć długi, na pół wcięty, w tyle szeroką krepiną obszyty.

Fig. 5—7. **Paletocik dla małéj panienki.** Krój ten jest zupełnie wolny, robi się go z jasnego korciku, lamowany ciemniejszym atłasem i obszyty frendzelką.

Fig. 8—12. **Okrycie bez rękawów dla dziewczynki.** Pod Fig. 12. widzimy zupełnie wykończone okrycie Fig. 11., podaje krój pojedyńczych części Fig. 10. krótki rękawek, gdyż długich zupełnie nie ma.

Fig. 13—16. **Okrycie wiosenne.** W tyle jest rodzaj kołnierza, do którego są przyszyte niższe części w fałdy ułożone, z przodu nie ma osobnego kołnierza, jest on tylko wyszyty, jak to na Fig. 15. widzimy. Okrycie takie robi się z materyi jedwabnéj lub z mory.

Fig. 17. aż do końca **różne modele dla modniarek**. Zrobione kapelusze podług tych modeli, bardzo gustownie wyglądają.

Arkusz II.

Fig. 1—3. **Żakiet wiosenny w naturalnéj wielkości** z wyszyciem łańcuszkowém albo robotą tamburinową. Model taki widzieliśmy z brązowéj materyi, wyszycie niebieskie i pąsowy jedwab.

Fig. 4. **Nowa suknia.** Najpiękniejsze jest wycięcie w zęby, obszyte falbankami, z pod których widać takąż samą falbankę.

Fig. 5—13. **Nowe paski ze szarfami.**

Fig. 5—9. służy zarazem jako podstawa do wykonania.

Fig. 10—13. Krój cały jest niezupełnie obcisły, dla osoby miernéj.

Fig. 14—18. **Letni paletot.** Zgrabny ten paletocik złożony jest z czterech części, ma zatém dwa boczki, każdy przód występuje mocno na graniczący boczek, który znowu występuje na boczek graniczący z plecami. Wykonanie z ozdobami widzimy dokładnie na rycinie.

☞ Pismo nasze jest jedyném w Galicyi, które podaje **mody i nuty**. Wychodziły jakiś czas we Lwowie przy „Nowinach“ mody — ale musiały ustać. Tém więcéj staraniem naszém będzie czynić zadosyć wszelkim życzeniom, jakie nas dochodzą.

— W poniedziałek 27 kwietnia odbył się w **Kasynie literacko-artystyczném wieczorek**, na którym przyjmowano bawiącego w mieście naszém gościa ***Aleksandra Fredrę***, autora „Jedynaczki“. Na powitanie przez prezesa kasyna odpowiedział gość wyrazami tak prostemi a szczeremi, że towarzystwo od razu ożywiło się i rozserdeczniło. Wśród wesołéj pogawędki wnoszono

liczne toasta — obok ogólnych, szerszych — toasta dla obecnych autorów dramatycznych (Bałucki, Bełcikowski, Bobrowski, Koziebrodzki, Fredro) dla artystów i dyrekcyi teatru, dla wszystkich muz, na powodzenie kasyna i dla jego założycieli itd. Zahaczając o słowa gościa: „że lubo pochodzi ze Lwowa, nie jest Lwowianinem, ale w Krakowie czuje się u siebie w domu“ — odezwał się p. J. K. Turski:

Pogodzenie jedném słowem
Krakowa ze Lwowem, —
Gdy już trzeba form koniecznie,
Podam sposób ludzki:
Niech się *tu* z Fredrą Bałucki
Uścisną serdecznie.

Do hr. Fredry (ojca) wysłało kasyno osobny telegram.

W końcu przy wzniesioném przez Ad. hr. Skorupkę „kochajmy się“, odezwał się p. Alf. Szczepański:

Co dobrego, nie zawadzi
I powtórzyć — mądrość radzi.
Jak bywało — niech więc będzie —
Toast najlepszy — ostatni —
Byśmy zawsze, byśmy wszędzie
Byli jak hufiec bratni! —

Bieda nas wciąż gniecie djablo,
Nie pomaga krzyżem,... szablą...
Ani się nam nie udaje
Homeopatów kuracja:
Kieszeń się i serce kraje —
Tak nas tuczy dyplomacja....

Lecz mamy rzecz niepowszednią
Biednéj duszy na ratunek:
Mówią, trzeba kochać *jedną*,
Lecz inaczéj żąda trunek:
Czy dalecy, czyli bliscy,
Kochajmy się oto *wszyscy*.

Czy kto Muzę ssał, czy dratwę,
Czy kto z mitry, ze wsi, z miasta,
Miejmy się za jedną dziatwę,
I „kochajmy się“ — i basta. —

Po zwyczaju nastąpiło potém „nie dajmy się“ i „strzemienne“. Był to pierwszy tego rodzaju wieczorek w nowém kasynie. Tymczasowy lokal, jakkolwiek jest szczupły, jednak zaopatrzony we wszystko, czego potrzeba dla pożytku i przyjemności.

— P. Hipolit ***Witowski***, znany z prac swoich w dziedzinie nauk przyrodniczych, ogłasza nowe w tym rodzaju wydawnictwo. W programie stoi: Wszystkie gałęzie nauk przyrodniczych dają się zastósować do praktyki życia powszedniego.

Fizyka w zastósowaniu praktycznem wskazuje, jak załatwiać różne sprawy i czynności stosunków domowych, co do pomieszkania, abioru, bielizny, kuchni itd. *Chemia* poucza jak przyrządzać zdrowe, pożywne pokarmy i napoje. *Botanika*, *geologia* i *chemia* wskazują różne sposoby uprawiania roli, ulepszania łąk, obchodzenia się z nawozem itd. *Fizyologia* jest nauką o sprawach żywotnych ciała zdrowego i zdolnego do pracy. *Anatomia* opisuje budowę ciała i wszystkich jego części. *Mineralogia* uczy poznawać i zużytkować rozmaite kopaliny; jakoto: kamienie, metale, różne ziemie itd. *Zoologia* i *geografia matematyczno-fizyczna* ułatwia zrozumienie kalendarza, zjawisk na niebie i w powietrzu, zmian pór roku itd.

Wychowując młodzież — zwłaszcza płci żeńskiéj — przykładamy za wiele stosunkowo starania, ażeby uczyła się muzyki, rysunków, języków obcych, deklamacyi — słowem rzeczy cechujących wykwintność zewnętrznéj ogłady i powierzchownego wykształcenia, a zaniedbujemy realne, poważne, ścisłe umiejętności, mające na celu dokładną znajomość rzeczy przedmiotowych w przyrodzie. Nasza młodzież, szczególnie żeńska, umie często tylko rozmaitości i słyszała o wszystkiém, o wszystkiém rozprawia, ale zna bardzo mało rzeczy gruntownie i doskonale. Nie ma przeto zgoła powodów obawiać się trywialności i zmateryalizowania wykształcenia, gdyż właśnie nauki przyrodnicze objaśniają zjawiska codzienne, ich przyczyny, skutki i prawa, co w zupełności odpowiada także idealnemu wykształceniu.

Najbliższém jest dla nas wszystko swojskie, krajowe. Podawać więc będziemy wiadomości stósowne do potrzeb, jakie u nas ustalił zwyczaj i obyczaj. Trzymać się będziemy téj zasady jak najściśléj i w tym kierunku rozwiniemy naszą pracę.

Rozpoczynam znowu nową publikację popularnych, wyłącznie przyrodniczych książek, które od czasu do czasu w krótkich przerwach po kolei wychodzić będą.

W tym celu zapraszam Rodaków do prenumeraty na następujące książki, w przekonaniu, że pracę moją, na schyłku życia podjętą, zechcą popierać skutecznie.

Publikację rozpocznie Chemia w obrazach z życia codziennego, opracowana podług J. Johnstona i stosowana do życia powszedniego.

Układ téj książki jest następujący: Wstęp. — 1) Powietrze, które wdychamy (wziewamy). — 2) Woda, którą pijemy. — 3) Rośliny, pielęgnujemy. — 4) Chléb powszedni, który spożywamy. — 5) Mięso, które gotujemy. — 6) Napoje naparzane. — 7) Płody cukrowe, które uzyskujemy. — 8) Napoje gorące. — 9) Płody odurzające, których używamy. — 10) Trucizny używane. — 11) Zapachy przyjemne. — 12) Zapachy odrażające. — 13) Czém i dla czego oddychamy. — 14) Pogląd na całość.

Przedpłata wynosi 2 złr., którą Szanowni Prenumeratorowie raczą przesyłać pod moim adresem „ulica Floryjańska Nr. 342“, lub pod adresem „Księgarni Wydawnictwa dzieł tanich i pożytecznych w Krakowie“, lub „Administracyi Kaliny“.

Druk rozpocznie się w pierwszéj połowie kwietnia.

— Nakładem księgarni Wydawnictwa dzieł tanich i pożytecznych w Krakowie, wyszedł temi dniami **„Przewodnik dla zwiedzających Wieliczkę“** ułożony przez J. K. Turskiego. Jestto zwięźle zestawiony obrazek z praktycznemi wskazówkami dla mających chęć odbycia podziemnéj pielgrzymki po uroczych kopalniach Wieliczki; i dla tego możemy go polecić każdemu, kto jeszcze nie zna tych cudów naszéj ziemi. — Przystępna cena **(30 cent.)** i wdzięczny ton opisowy, tu i owdzie poetyczną ozdobiony okrasą, przychodzą w pomoc naszemu poleceniu téj pożądanéj broszurki.

— Korespondencja o wystawie lwowskiéj w następnym numerze zamieszczoną będzie.

— W pierwszych dniach t. m. będzie odegrany **na dochód *p. Modrzejewskiej* „Livia Quintilla“**, dramat 1no-aktowy z rzymskich czasów, Al. Rzętkowskiego z Warszawy. Utwór ten białym wierszem pisany, odznacza się tak co do zalet wewnętrznych, jako i pod względem układu, stylu i w ogóle formy. — Występują w nim p. Modrzejewska, pp. Rapacki, Benda, Ładnowski. Spodziewamy się, że Publiczność nasza nie zaniedba téj sposobności, poznania nowego pisarza. — Przedstawienie zakończy komedja francuska „Mąż na wsi“, mająca w Paryżu ogromne powodzenie.

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1868.